

Festiwal jak roczny egzamin

Paulina Ilska: - Jak zmieniał się festiwal? Myślę też o udziale, jaki w jego powstaniu i kształcie miał ówczesny dyrektor Teatru Powszechnego Maciej Korwin, o pierwotnej formule Festiwalu Sztuk Przyjemnych i dołączeniu do niej Sztuk Nieprzyjemnych.

Ewa Pilawska: - Festiwal zmienił się nie do poznania, ale ocena powinna przede wszystkim należeć do widzów. Najpierw Permanentny Festiwal Sztuk Przyjemnych opierał się na impresaryjnych prezentacjach, z czasem przeszedł ewolucję. A udział Macieja Korwina? Kiedy byłam jego zastępcą, zaproponowałam mu stworzenie w Powszechnym festiwalu, on zaakceptował pomysł – choć nie od razu. Jestem wdzięczna, że pozwolił mi urzeczywistnić to marzenie. Od początku wierzyłam, że ten festiwal da nowe życie Powszechnemu – wtedy teatrowi z „gębą” i kategorią „C”, z którego kilka lat wcześniej zespół wyrzucił dyrektora Romana Kłosowskiego. W dniu inauguracji drugiej edycji Maciek pracował już w Gdyni. Namawiał mnie, bym przeniosła się tam razem z nim, ale wolałam zostać w Łodzi. Nasze drogi się rozeszły.

Które edycje najmocniej utkwily pani w pamięci?

- Wszystkie były ważne, żadnej nie chcę wyróżniać. Do każdej przygotowuję się z pokorą, cały rok oglądam spektakle i myśli układają się mi w pewien obraz. Gdy przychodzi festiwal, czuję się trochę, jakbym zdawała egzamin z rocznej pracy. Najważniejsze to zachować w sobie ciekawość, radość i odwagę dziecka. To pomaga przetrwać trudne momenty, na przykład, gdy zabierano nam dotację. Nie chcę tego rozpamiętywać. Przypominam o tym, bo nieprzemysłane decyzje urzędników doprowadziły do likwidacji wielu ważnych instytucji i wydarzeń w Polsce. Uważam, że trzeba mieć odwagę marzyć – kiedy obejrzałam „Wymazywanie” Krystiana Lupy w 2001 roku, wiedziałam, że to zadanie dla mnie i publiczności festiwalu na przyszłość. I udało się – pokazaliśmy to kilka lat później. Dzięki marzeniom i wsparciu środowiska przedstawialiśmy spektakle wybitnych twórców, m.in. Lupy, Jarockiego, Schillinga, Zelenki, Pollescha, Warlikowskiego, Jarzyny. Przy braku stabilnego dofinansowania to było jak wejście na Mount Blanc.

Hasłem 25. edycji jest „Publiczność”. Jak postrzega pani widzów Teatru Powszechnego i co wiemy o widzach festiwalu? Czego jedni i drudzy szukają w teatrze?

- Kategoryzacja widzów to podstawowy błąd. Widzowie – bez wyjątku – szukają dobrego teatru. A teatr musi być różnorodny, muszą być i Kleczewska, i Machulski. Gatunki muszą się ścierać. Teatr Powszechny jest teatrem komediowym, a on nie jest ani gorszy, ani lepszy od innych. Pokazujemy, że nie powinniśmy wstydzić się śmiechu – dlaczego za wartościowe uznawać tylko to, co skomplikowane i hermetyczne? Hasło „Publiczność” może wydawać się ogólne, ale uruchamia fundamentalne pytania: Kim jest widz w teatrze? Dla kogo jest teatr? Jaka jest jego społeczna odpowiedzialność – i jak wyraża się w różnych strategiach twórczych czy gatunkach? Jak odnosi się pani do nich w swojej codziennej praktyce? Rozmowę o czym chce pani zaproponować podczas festiwalu?

Dalszy ciąg wywiadu można przeczytać w marcowym „Kalejdoskopie” – do kupienia w Łódzki Dom Kultury, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press i salonach empik. A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu): https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-województwa-lodzkiego?fbclid=IwAR0CJwQi1fl7y-1av7GdZlwB82ZmKdxZmMSef9uNO1G6RKt-b4HEX_KIB8o